

Tania krew Palestyny

8 kwietnia 2018

„Zabijanie Palestyńczyków jest w Izraelu lepiej akceptowane niż zabijanie komarów. Nie ma nic tańszego w Izraelu od krwi palestyńskiej” – pisał Gideon Levy, publicysta Haaretz w kilka dni po rzezi palestyńskich manifestantów w Gazie dokonanej przez izraelskie wojsko. Levy, żydowski przeciwnik izraelskiego apartheidu, sam jest uważany w swoim kraju za rodzaj irytującego komara, tyle, że traktowanego najwyższej machnięciem ręki. Izraelski, rasistowski projekt państwowy postępuje przecież zwycięsko, pełną parą, już nawet bez przebrania.

OBROŃCY ŻYCIA

W ubiegłym miesiącu izraelski prezydent Reuven Rivlin przyjął na specjalnej ceremonii oficerów i żołnierzy jednostek Jamas oraz autorów i aktorów telewizyjnego serialu „Fauda” („Chaos”). Przyjął ich razem, bo w zasadzie obie te grupy łączy aktorstwo, reżyseria i przebranie. Jednostki wojskowe Jamas to tzw. mistarawim, „przebrani za Arabów”, izraelskie szwadrony śmierci operujące na terytoriach okupowanych, a serialowi aktorzy to ci, którzy przebierają się za mistarawim, by w romantyczno-horrorowej fabule gloryfikować rasizm, żydowskie panowanie w Palestynie i zbrodnie armii izraelskiej.

Prezydent wyraził „wdzięczność”, bo „obrońcy życia” z Jamasu są sprawnymi wykonawcami pozaprawnych egzekucji na palestyńskich działaczach politycznych, skrytobójstw, zamachów bombowych, czy gwałtownych aresztowań manifestantów, z którymi mieszają się bez problemu rzucając kamieniami w izraelskie wozy bojowe. Wyraził „dumę”, bo drugi sezon serialu „Fauda” znajdzie się na amerykańskiej platformie Netflix, mimo protestów organizacji ochrony praw człowieka. Serial, najnowszy sukces kolonialnej propagandy, coś niektórym przypomina.

Zeev Sternhell, profesor Uniwersytetu Hebrajskiego, specjalista od historii faszyzmu, zastanawiał się niedawno we francuskim Le Monde, czy Izraelczycy zrozumieli, że „ich bezwzględność wobec nie-żydów na terytoriach okupowanych, ich determinacja, by złamać wszelką nadzieję Palestyńczyków na wolność i niepodległość, czy masowa odmowa udzielenia azylu afrykańskim imigrantom, odbiera moralną prawomocność istnienia ich państwa”. I ostrzegł, że „w Izraelu rośnie rasizm bliski nazizmowi”.

ZDJĘCIE MASKI

„Nie ma sprawiedliwości pod okupacją” – proste słowa Ahed Tamimi, palestyńskiej nastolatki skazanej za wymierzenie policzka żołnierzowi izraelskiej armii okupacyjnej na osiem miesięcy więzienia, nie znaczą, że myślała o tym żydowskim żołnierzu, którego skazano na dziewięć miesięcy za zabicie leżącego, bezbronnego Palestyńczyka. Ta banalna ilustracja izraelskiego apartheidu nie miała wielkiego znaczenia w porównaniu z czymś nieco szerszym, skazaniem całego narodu na wieczne zniewolenie. Tak w jej wsi i na całym świecie odebrano amerykańskie uznanie Jerozolimy (Al-Kuds) za „wieczną i niepodzielną” stolicę Izraela, w grudniu zeszłego roku.

Prezydent Trump wysłał premierowi Izrael Netanjahu jasny sygnał, że rozrost kolonii żydowskich, wywłaszczanie Palestyńczyków z ich ziemi, czystka etniczna i masowe represje wobec okupowanych będą korzystać z bezwarunkowego poparcia Waszyngtonu. Cały „proces pokojowy” zaczęty w 1993 r. pod egidą amerykańską, oparty na wizji dwóch państw, przeszedł tym samym do przeszłości. Polegał on zresztą na absurdalnym założeniu, że skolonizowany naród, jeśli chce sprawiedliwości, powinien zdać się na kolonizatora. „Proces pokojowy” był jedynie iluzją polityczną pozwalającą Izraelowi nieodparcie kontynuować nielegalną kolonizację palestyńskich terytoriów okupowanych. Nie mamy do czynienia z dwoma równymi państwami, lecz narodem palestyńskim sterroryzowanym i kompletnie zdominowanym przez izraelskie mocarstwo atomowe, które ma za

sobą całą potęgę imperium amerykańskiego.

JEDNO PAŃSTWO, JEDEN NARÓD

„Izrael będzie żydowski, jak Anglia jest angielska” – przekonywał już w 1919 r. Chaim Weizmann, przewodniczący Światowej Organizacji Syjonistycznej. Czystka etniczna należy do esencji syjonizmu od jego początków do dzisiaj. Owszem, Martin Buber i inni wyobrażali sobie jedno państwo, federację palestyńsko-żydowską opartą na równych prawach demokratycznych, ale politycznie zwyciężyła wizja dwóch państw. Do dziś oficjalnie popierają ją Unia Europejska i Autonomia Palestyńska, mimo bijącej w oczy oczywistości, że na skutek polityki okupacji, zaboru i żydowskiej kolonizacji nie ma już z czego wykroić państwa palestyńskiego. 6 lutego Kneset przegłosował zresztą rozciągnięcie suwerenności izraelskiej na całą Palestynę. Przygotowuje teraz aneksję pięciu kolonii w okupowanej Jerozolimie wschodniej, by zaakcentować żydowską hegemonię w mieście i uniemożliwić, by ta jego część służyła za stolicę państwa palestyńskiego. W Palestynie ma być jedno państwo, żydowskie, kraj panów i zniewolonych.

Wizja państwa palestyńskiego obok izraelskiego pozwoliła Palestyńczykom na pewne sukcesy dyplomatyczne (wejście do UNESCO, ONZ, Międzynarodowego Trybunału Karnego). Palestynę uznaje prawie 140 państw, ale to niczego nie zmieniło w terenie. Przyszłe, powiększone państwo izraelskie stawia na społeczny model apartheidu, w którym palestyńscy „podludzie” nie będą mieli prawa głosu, jeśli nie zostaną ostatecznie wyrzuceni ze swego kraju, jak marzy izraelska, większościowa prawica narodowa. Dziś „Wielki Izrael” liczy mniej więcej tyle samo żydów, co gojów (zbitka „Izraelczyk-żyd” ma w Izraelu umocowanie prawne, w przeciwieństwie do np. „Polaka-katolika”), ale trwa „żydowskie wyzwanie demograficzne”: o ile w Izraelu płodność nieżydowskich kobiet jest podobna do płodności żydówek, to na terytoriach okupowanych rodziny żydowskich kolonistów z Europy i Ameryki mają nawet po dziesięcioro dzieci, średnio dużo więcej niż Palestyńczycy.

NOWY PLAN

Zdjęcie przez Amerykanów fałszywej maski „uczciwego mediatora” ma tę zasługę, że choć chwilowo przywróciło kwestię palestyńską na pierwszy plan, z którego zniknęła z powodu wojen w Iraku i Syrii. To trochę dziwne, bo właściwie łączy się z tymi konfliktami poprzez mniej lub bardziej dyskretne uczestnictwo Izraela. Dziś tężeje wizja nowego konfliktu regionalnego, do którego prą Izrael i Arabia Saudyjska, przeciw Iranowi. Stanom Zjednoczonym spodobała się strategia izraelskiej prawicy, doprowadzenia do sojuszu izraelsko-sunnickiego przeciw szyitom. W Arabii Saudyjskiej, która uważa się za lidera islamu sunnickiego, wrogość wobec Iranu od dawna góruje nad opozycją wobec Izraela. Mohammed ben Salman, następca tronu i faktyczny dyktator Arabii, przedstawił w Rijadzie prezydentowi Autonomii Palestyńskiej Abbasowi nowy izraelsko-amerykański „plan pokojowy”, który miałby załatwić sprawę.

Jedyne spójne terytorium, które według tego planu pozostałoby Palestyńczykom to Strefa Gazy (prostokąt mniej więcej 10 na 37 km). Cała okupowana Jerozolima i prawie cały Zachodni Brzeg Jordanu przypadłyby państwu żydowskiemu, oprócz kilku małych bantustanów Autonomii Palestyńskiej, z granicami kontrolowanymi przez Izrael. Do tego oczywiście rezygnacja z prawa powrotu uchodźców. Byłoby więc w zasadzie jak dzisiaj, tyle, że bez udawania wiary w jakąś godną przyszłość i... za palestyńską zgodą. Autonomia Palestyńska zależy w znacznej części od finansowania saudyjskiego, więc ben Salman ma instrumenty nacisku. Skoro Trump, jak i jego elektorat, popierają antyirańską strategię skrajnej izraelskiej prawicy, zbliżenie saudyjsko-izraelskie staje się naturalne. Ale co na to Palestyńczycy?

ZMĘCZENIE I NADZIEJA

Sojusz saudyjskiej dyktatury z izraelskim reżimem apartheidu wydaje się czymś bardzo dalekim, gdy ma się do czynienia na co

dzień z okupacyjnym terrorem: morderstwami, więzieniem, blokadami, konfiskatami ziemi, burzeniem domów, biedą, bezrobociem, pozbawianiem opieki medycznej, czy zakazem podróżowania. Palestyńczycy są zmęczeni. Autonomia Palestyńska, choć mniej skorumpowana niż władze izraelskie, wspomagana groszami w porównaniu z Izraelem, który dostał od podatników amerykańskich niebywałą sumę 250 miliardów dolarów, pozostaje bezradna wobec licznych wyzwań gospodarczych i społecznych. Druga Intifada (2000-2005) była wielką traumą dla obu stron konfliktu, ale Palestyńczykom trudniej podnieść się z tamtej klęski.

Palestyńskie ugrupowania lewicowe bądź religijne, które od początku sprzeciwiały się kłamstwu „procesu pokojowego”, mają ograniczony wybór: ani walka zbrojna, ani pokojowa nie robią wrażenia na izraelskim państwie kolonialnym. Kiedy idea jednego, dwunarodowego państwa zdobywa sobie zwolenników po obu stronach barykady, dla sprawy palestyńskiej najważniejsze teraz to walka o równość praw między żydowskimi Izraelczykami a ludnością arabską, która zapowiada się na bardzo długą. Izraelska prawica nacjonalistyczna zapatrzona w model dawnego RPA ma rację, gdy widzi swój projekt jako długoterminowy. RPA apartheidu upadła z powodu międzynarodowego bojkotu i ostatecznie opowiedzeniem się Stanów Zjednoczonych za odstąpieniem od tego systemu. W przypadku Izraela ta druga opcja nie wchodzi w grę.

Międzynarodowa kampania BDS (Bojkot, Wycofanie Inwestycji, Sankcje), choć pod naciskiem izraelo-amerykańskim tępiona w krajach zachodnich, odnosi pewien sukces: według byłego izraelskiego ministra finansów Jaira Lapida może powodować straty u kolonizatorów rzędu trzech-czterech miliardów dolarów rocznie. Wydawałoby się, że międzynarodowa solidarność z Palestyńczykami słabnie, ale w istocie tak nie jest: choć w ten sposób krew zniewolonych nie będzie tak tania dla Izraelczyków. W samym Izraelu opozycja wobec okupacji i kolonizacji jest marginalna, ale ciągle żywa. Solidarność z

nią, jak też z losem upokorzonych Palestyńczyków, pozostaje powinnością lewicy.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu